

ROCZNIK  
LUDZI  
KARPAT

Nr 2 (2022)

RES  
CARPATHICA



**Dział popularny**  
Popular section  
Secțiunea publică

# Czym są dla mnie Karpaty

What the Carpathians mean to me

Ce sunt pentru mine Carpații

Jarosław Balon<sup>1</sup>



Jezioro Bucura w zaśnieżonym Retezacie [fot. Jacek Wnuk].

Prośba o napisanie tekstu o takim tytule, wyrażona przez Zespół Redakcyjny Rocznika „Res Carpathica” wprawiła mnie – przyznaję szczerze – w pewną konsternację. No bo rzeczywiście Karpaty w moim życiu są ważne od wczesnej młodości, w nich doznawałem jako dziecko turystycznych „wtajemniczeń” (pierwsza wycieczka, pierwsze nocowanie w szałasie, pierwsze ognisko, pierwsze zgubienie i odnalezienie właściwej drogi itd.). Pewnie też przeżyłem tam pierwszy entuzjazm do poznawania świata; pewnie wyglądało to tak, jak później zapamiętałem z pierwszych wycieczek z moim starszym, paroletnim wtedy synem Markiem, który szedł a właściwie podbiegał do przodu i przed każdym zakrętem wykrzykiwał: „Zobaczmy, co tam dalej...”.

No i rzeczywiście z Karpatami związałem ściśle swoje życie; to że nie mam tam „drugiego domu”, wynika głównie z przekonania, że wciąż najbardziej interesują mnie miejsca, gdzie jeszcze nie byłem. A do nich najprościej jest docierać wprost z Krakowa. A że głównie w Karpatach? Nie dziwota, skoro zaczynają się one „o trzy rzuty beretem” od mojego mieszkania.

Ale właściwie o czym tu pisać? O kolejnych wycieczkach – to tu, to tam? *Nota bene* – ileż to ciekawych miejsc jest w Karpatach dostępnych z Krakowa jednodniową wycieczką z podjazdem autem? Odkryłem ten fakt właściwie ostatnio, w czasie pierwszego roku pandemii, kiedy to wraz z Żoną postanowiliśmy (głównie dla podtrzymania jakiejś takiej kondycji) zrobić „Koronę COVIDu” i raz na tydzień wyruszyliśmy na jednodniówki, ale na szczyty i szczytiki takie, na których nigdy w życiu jeszcze nie byliśmy. Ileż ich było (i dalej jest!). Oczywiście, wcześniej też wędrowałem wiele. No, ale opisy różnych wycieczek karpaccich odbytych w ciągu już licznych latk mojego

<sup>1</sup> Dr hab., prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, przewodniczący Polskiej Asocjacji Ekologii Krajobrazu.



Góry Rodniańskie jesienią [fot. Jacek Wnuk].

108 życia – byłyby przecież dla normalnego Czytelnika, nawet kochającego góry, totalnie nudne. *Dojechaliśmy, poszliśmy tędy, wyszliśmy tu, wypiliśmy herbatę w schronisku, o jak ładnie było...* Ile można coś takiego czytać? Mógłbym, co prawda, skupić na tych rzadkich wycieczkach, które rzeczywiście okazały się przygodą (niespodziewana burza pod szczytem Gierłacha, spotkanie z misiem pod Poloniną Wetlińską, całodniowe samotne przecieranie szlaku w ponad metrowym śniegu na Magurze Małastowskiej, ewakuacja namiotów spod głównej grani Tatr Niżnich w czasie katastrofalnej wichury itp.). Ale przygody te wcale nie były przecież „typowe” dla całokształtu mojego „karpatołażenia” i w dodatku niekoniecznie wystawiają temu chodzeniu najlepsze świadectwo. Bowiem, jak wiadomo, „górska przygoda to błąd w planowaniu”, a już od wielu lat staram się trzymać zasady, że „zawodowcy nie mokną”. Zatem, gdy zbliża się załamanie pogody, zdecydowania wolę, jak pisał Adam Asnyk „uciekać na dół z skalistego żebra, by gdzieś w szczelinie czas przeczekać brzydką”, a najlepiej jak tą szczeliną bywa dach, co najmniej dobrze okopanego namiotu...

Można by też oczywiście pogawędzić o karpackich wycieczkach, które zapisały się w lepszej pamięci, a miały coś z powiewu przygody, choćby o parunastugodzinnej wyrypie w niepewną pogodę na Moldoveanu w Fogaraszach, o przedzieraniu się przez dzicz na kulminację Rudaw Słowackich – Stolicę, zakończoną niespodziewanym natknięciem się na szczycie na... festyn, gdzie można było wypić nawet zimne piwo, o bezwzględnym ataku rozjuszonych dzikich malin, które prawie uniemożliwiły nam zdobycie Fabowej Hali. Albo też o wejściu na Złoty Stół w Górach Wołowskich,

gdzie szlak był tak zarośnięty, że mało nie założyliśmy w mediach społecznościowych „Klubu Zdobywców Złotego Stołu”, uznając, że pewnie więcej osób weszło już w historii na Everest niż tam... Ale te wszystkie wycieczki byłyby ciekawe pewnie dla mnie i ewentualnie współtowarzyszy wędrówki, ale co z nich zacnemu Czytelnikowi Rocznika „Res Carpathica”?

Więc jak nie o wycieczkach, to może zawodowej stronie mojego życia, czyli o rozmaitych badaniach geograficznych czy też ekologiczno-krajobrazowych, które prowadziłem głównie w Karpatach? Ale akurat w świecie nauki nie ma obyczaju charakteryzowaniu dorobku jakiegoś badacza przez jego samego (pomijając procedurę awansową, ale to zupełnie nie ta bajka). Moje (uwaga – tu przymrużenie oka) wybitne zasługi dla nauki polskiej może opisać kiedyś ktoś inny. Pewnie przy okazji jakiegoś godnego jubileuszu (jeśli takowego dożyję) lub *post mortem*. I pewnie przewodni będzie tam wątek karpacki. Może ktoś wtedy napisze, że w badaniach zawsze przedkładałem prace terenowe nad kameralne prace z użyciem nawet najlepszej mapy cyfrowej. Bo w moim głębokim przekonaniu dla przyrodnika, za którego się uważam (geografowie zajmują się przyrodą nieożywioną a biolodzy ożywioną), najważniejszy jest prawdziwy, czyli bezpośredni kontakt z naturą. Ale pozostawiam ten opis moim uczniom...

I tak dumając, czym mogę jeszcze podzielić się z Czytelnikiem na tych łamach, zdałem sobie nagle sprawę, że zapewne redakcji chodziło o coś bardziej osobistego, niż moje wycieczki czy badania. Coś bardziej *sierdca szczypitelne*, jak to mówią za naszą wschodnią granicą. Jeśli tak, to mógłbym tu napisać o ludziach, którzy *siy mineni*, a którzy jakoś tam kojarzą mi się z Karpatami. Choćby o moim Ojcu, Adamie, przewodniku przewodników tatrzańskich z Krakowa, który pokazał mi góry. Albo o wybitnym znawcy Tatr i ratowniku górskim, Włodku Cywińskim, który był chyba pierwszym zakopiańczykiem, który publicznie docenił moją wiedzę tatrzańską. Albo o profesorze Zdzisławie Czeppe, z tych „prawdziwych” profesorów, których pokolenie dawno już minęło, który zaproponował mi, nieopierzonemu badaczowi, jeszcze studentowi, udział w projekcie – *nomen omen* – karpackim. Albo o wspaniałym instruktorem harcerskim, Kazimierzu Bogdanie Schütterly, który kiedyś namówił mnie, bym przyjechał w nieznaną mi wtedy praktycznie Bieszczady. Lub też o niezapomnianej Babci Panasiowej z Mszany Dolnej, które całe życie poświęciła otaczającym ją dzieciakom, uznając że każde dziecko, bez względu na sytuację polityczną i okoliczności, winno mieć prawo do przeżycia harcerskiej przygody. Ale tym Ludziom i wielu zresztą innym należy się coś więcej niż tylko skromna wzmianka w tym tekście. Więc – choć moją karpacką duszę – właśnie jakoś tam oni kształtowali, rozumiem, że bardziej o efekt, a nie jego inżynierów chodzi.

I jak tak zacząłem myśleć o swojej „karpackiej duszy”, to pojawiło się z automatu skojarzenie – że co jak co – ale w duszy to przede wszystkim coś gra. I zdałem sobie sprawę, że z górami to tak naprawdę związała mnie przede wszystkim muzyka. Nie! Źle piszę – nie muzyka (żeby ktoś o jakimś Szymanowskim tu przypadkiem nie pomyślał), ale piosenka. Piosenka o górach. Niekoniecznie

poezja śpiewana, ale muzyka grana i odśpiewywana w różnych okolicznościach – przy ognisku, na zbiórce harcerskiej, przy świeczce w domu, w czasie wędrowki, w pociągu czy w autobusie. Ale przecież zawsze (mniej lub bardziej) o górach. Piosenki, jedne ładniejsze, drugie bardziej toporne. Jedne teksty bardziej poetyckie, jak choćby harasymowiczowskie „zasmreczyły się chmur igliwiem bure świerki o góry wsparte”, a inne proste, ale z serca wprost płynące: „Idę w góry cieszyć się życiem...”

Przepatrując pod kątem karpackim te piosenki nieco zdziwiony stwierdzam, że „karpackość” *explicite* tak naprawdę tam nie występuje. Emocje buduje się natomiast wokół różnych części Karpat. Są to przede wszystkim Bieszczady, „od zawsze” obecne w piosence turystycznej, jak choćby w studenckiej, np. kultowej kiedyś *W Bieszczady*:

Chciałbym do kawiarni z Tobą iść, cholera

Kawę, wino, ptysie i szarlotkę gryźć

Ale jak to zrobić, jak w kieszeni grosz

Jedno jest stypendium a rozrywek moc

Bo na to już nie ma rady, chyba tylko w Bieszczady...

Bo w Bieszczadach można tanio żyć i szczęśliwym bez pieniędzy być ...

Chyba jeszcze bardziej kultowe są Bieszczady w piosence harcerskiej. Z licznych przykładów wybiorę *Bieszczadzki trakt*:

Dorzuć do ognia dREW, w górę niech płynie śpiew,

Wiatr poniesie go w wilgotny świat

Każdy z nas o tym wie, jutro spotkamy się,

A połączy nas bieszczadzki trakt...

Śpiewajmy wszyscy w ten radosny czas

Śpiewajmy razem ilu jest tu nas

Choć lata młode szybko płyną wiemy że

Nie starzejemy się!

Kolejnym takim miejscem są Tatry, jak choćby w *Rajdzie tatrzańskim*:

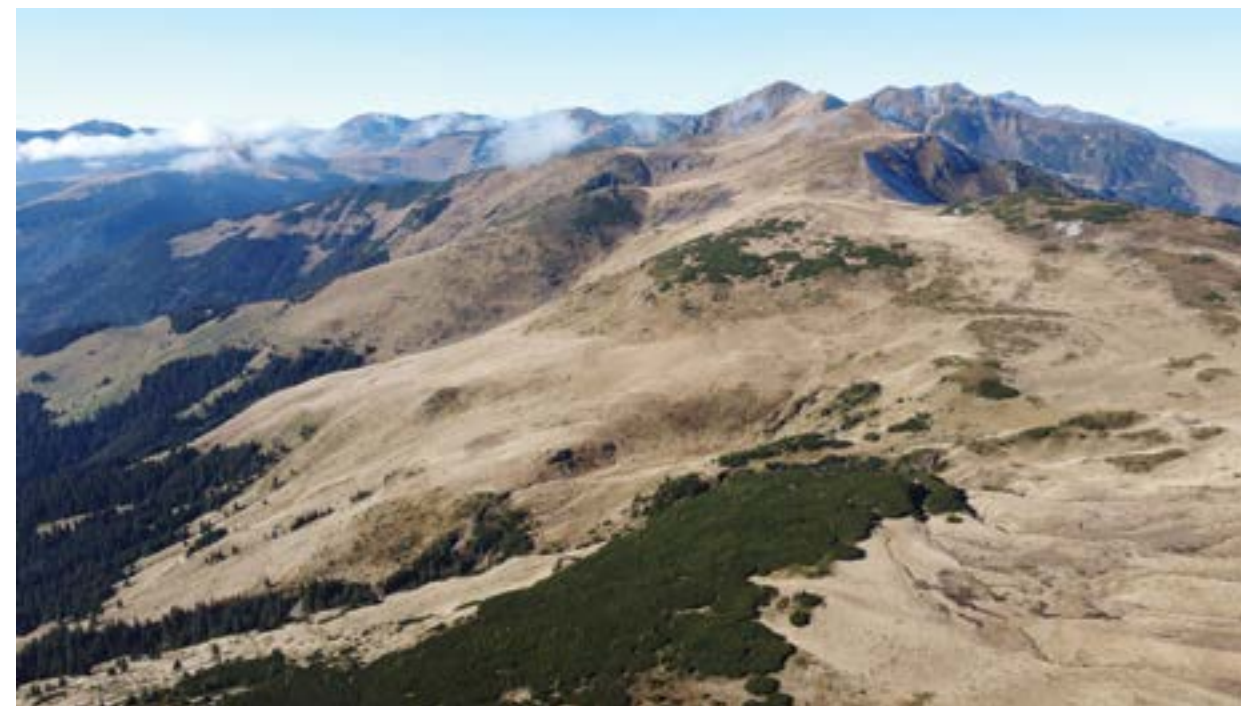
Końca sesji nie czekamy, lato nas wygania w świat,

stopem albo pociągami wyruszamy, wyruszamy, wyruszamy, na zew Tatr

Powędrować dolinami, w świat drapieźnych skalnych kłów...

Iść w zawody z kozicami, szukać w chmurach zagubionych snów...

No i oczywiście niewątpliwie kultowe Gorce. Chyba każdy górski wędrowiec śpiewał że: „Jasno płonie watra w lesie, echo piosnkę niesie w dal i rozlega się dokoła, pieśń cudownych gorczańskich hal” albo że „Pusto w Gorcach jest jesienią, chociaż w dole życie wre”. I był przekonany, że gdzie jak gdzie, ale tutaj to na pewno „spotkasz szczęście, co gdzieś pod gontami śpi”.



Główny grzbiet Gór Rodniańskich [fot. Jacek Wnuk].

Rzadko też pojawiają się też ogólne Beskidy. Co prawda „Po Beskidzie błądzi jesień, wypłakując deszczu łzy”, ale z kontekstu wynika, że wyraźnie chodzi tu o Beskid Niski. No, bo gdzie indziej „w pustej cerkwi co niedzielę rzewnie śpiewa wiatr, pobożny wiatr”?

Natomiast roi się od miejsc pojedynczych. To przecież w Limanowej czekamy na „ostatnie lata połączenie”, nigdy nic nie powiemy „w złockiej ikonie”, wiatr wieje „od Turbacza” czy też „od Zawratu”, obozy są „pod Wetliną”, w Bukowinie są „góry niebem postrzępione”, to Lackowa tworzy „skrzydlącą się bramę”, a na Orawie, po przetarciu „szyby ciepłą dłonią” całym sobą obserwujemy (czy może nasłuchujemy?) jak grają wiatry „na organach turni”.

No, ale gdzie w tym Karpaty? Gdzie w tym „karpackość” piosenek? Otóż jest, oczywiście! Gdzie? Ależ wszędzie, praktycznie w każdej piosence. I to nawet nie dlatego, że Turbacz, Lackowa, Wetlina, Złockie – to wszystko Karpaty. Natomiast dlatego, że ludzie śpiewający o górach mieli w tyle głowy właśnie Karpaty. No może miejscami, z rzadka (Ci z Dolnego Śląska) Sudety. Ale przede wszystkim Karpaty! No bo przecież siedząc „we wtorek w schronisku po sezonie” nie siedzi się gdzieś w Alpach. „Lato do ciepłych stron” nie umyka gdzieś w Kaukazie. Mamy „w uszach szum, strumieni śpiew, a w żyłach rozżętnioną krew” nie gdzieś w Pirenejach. „Cicho potok gada” spływający gdzieś spod zalesionego karpackiego grzbietu. Klękając gdzieś z grajką, „w małej wiejskiej kapliczce” widzimy dookoła oczyma duszy ciemne karpackie smreki i dźwięczące owczymi dzwoneczkami polań, a nie na przykład tybetańskie bezdroża. Jeśli „w górach jest wszystko, co kocham” to oczywiście są to Karpaty, a nie Andy czy Kordyliery...



Pietros (2303 m n.p.m.) w Górach Rodniańskich [fot. Jacek Wnuk].

No i oczywiście trzeba mieć świadomość, że owa karpackość polskiej piosenki górskiej wynika nie tylko z intencji tych, co piosenki śpiewają, ale przede wszystkim z intencji ich twórców. A słowo Karpaty nie pada w tych tekstach tylko dlatego, że jest ono po prostu oczywiste. Ta oczywistość wynika nie tylko z owej swojskości, „naszości” Karpat, ale też z faktu, że dla autorów nie bardzo mogły to być jakiegokolwiek inne góry. Bo przecież te inne góry mało kto znał, przez wiele, wiele lat w inne góry się nie jeździło, a jeśli już jeździło, to po to, by je eksplorować, zdobywać, a nie po to, by o nich piosenki pisać. Do układania piosenek niezbędne były góry „oswojone”, właśnie przede wszystkim Karpaty.

Skąd to wiem? Bo sam piosenki o górach układałem i mam ich „na koncie” całkiem znaczącą ilość. Wiem, nie jestem zbyt znany, jako twórca tego rodzaju, mimo że nawet wydałem kilka śpiewników. Ale cóż, tworzyłem je głównie w młodości, nigdy nie dbałem o specjalną ich promocję, a śpiewam je głównie w gronie przyjaciół, raczej unikając publicznych występów. Tym niemniej, jeśli gdzieś, to pewnie w nich pokazuję moja „karpacką duszę”.

Więc, mogę spróbować napisać, czym są dla mnie Karpaty, korzystając z tekstów owych piosenek. Nie będę cytował ich całych, by czytelnika nie zanudzić. Nawet nie dam adnotacji – która to piosenka, bo przecież nie o piosenki, ale o mnie chodzi. Ale ważne, że pisałem te teksty z głębokim przekonaniem, a zatem szczerze; tak a nie inaczej – może naiwnie – myślałem.

Zacznę od tego, że góry (Karpaty!) są dla mnie miejscem alternatywnym, miejscem wolności, „ucieczki” od cywilizacji, a może nawet miejscem prawdziwego życia, nie udawanego, nie fałszywe-

go, jak w mieście. „Za tą przełęczą – następna dolina, za tamtym szczytem jest następny świat. Kto nas potrafi tutaj powstrzymać, kto nam zabroni spoglądać w dal” – pisałem w jednej z pierwszych moich piosenek. I dalej „Popatrz naprzód, czas rzucić wreszcie ciemność, co była naszym dniem...”. A w innej: „Codziennie nowy rozpalać ogień, codziennie nowy odkrywać świat, pić wino życia pełnym haustem, nie zważać, że czasem cierpki ma smak”.

To „inne” miejsce było na pewno miejscem magicznym. Góry tak wielkie, że „szczytami dosięgają gwiazd”. Tamtejsze „wielkie lasy” oferują „zakochanym – zielone gęstwiny, rozmarzonym – szumu koron śpiew”. Tam przecież „smreczyny szumiące i skały spiętrzone, trącają serca struny”. To miejsce, gdzie łowimy „w sidła wspomnień kolorowy świat”, a „serce bije stukotem radosnym”, gdzie oczy nam się śmieją „do gór świerkowym cieniem malowanych, do krętych ścieżek w lesie zagubionych, do owczych dzwonek wieszczących polany”. Miejscem, gdzie „smutek nam z czoła zwiewa górski, porywisty wiatr”. Gdzie nawet, gdy „śniegi okryją ziemię, w namiot wejdzmy, jak niedźwiedź w jamę i przy gitarze i przy gawędzie, kwiecistej wiosny się doczekamy...”.

To miejsce, gdzie rodzi się szczęście, gdy uda się „sprawną dłonią szorstkiej dotknąć skały, poczuć pod stopami ciepły górski wiatr” i „zdyszana percią, postrzępioną granią, wyprowadzić młodych aż na wielki szczyt”. Gdzie można doznać chwil „rzadkim szczęściem pozłacanych”, tylko dlatego, że dookoła są góry, pod drzewem stoi namiot a nam udało się właśnie zagotować wodę na herbatę. Albo dlatego, choć zapadła już noc i „ludziom w dolinach ciepłe piec i łóżko śpiewają kołysanki do snu”, to my wciąż wędrujemy, bo nam „tak dobrze iść razem, tak bardzo nas brata, ballada zmęczonych wędrowców”. I nikt nam wtedy nie odbierze „gór, nocy i szczęścia...”. I przecież na pewno „właśnie Ty odnajdziesz, taką cząstkę choć maleńką, tego co się szczęściem nazywa”.

Te góry to też miejsce snucia wspaniałych marzeń, które są prawdziwie gorące, gdyż rodzi je „płomienny ogniska blask”, tam „rozgrzani ciepłem ogniska, uwierzmy w dobro światła”. Marzeń, które góry równocześnie stwarzają i spełniają. Bo „jeszcze tylko marzeń nasnujemy, namotajmy do serca ciszy, aby za rok znów tutaj powrócić...”. I potem w domu – jaka może być następna piosenka, jak „nie o tych górach, co w marzeniu”? Bo przecież właśnie w górach „marzenia będą się spełniały”, pod jednym tylko warunkiem: „Tylko trzeba uwierzyć swoim dobrym marzeniom...”. I potem, choćby przeszły gorsze chwile, to przecież „jeszcze będziemy się śmiać do słońca, jeszcze nam serca rozgrzeją góry...”. Bo jeśli „Twój żar rozpałił górski wiatr, to nic go już nie zdoła zgasić...”.

Góry to wreszcie miejsce spotkania z drugim człowiekiem, bo przecież tak „dobrze jest mieć przyjaciół, przy sobie zasiadać blisko...”. Bo kiedy „od ognia serca tają, noc nas łączy, i płynie pieśń gorętsza od płomienia”, to wtedy jest: „wielka, wielka wiara, moc przyjaznych wyciągniętych rąk”. Tu przecież „nigdy nie będziesz sam, boś swoje serce ludziom dał”. I na pewno „najpiękniejsze przyjaźnie to w górach, one patrzą okiem kozicy”. To nazbierane w górach szczęście staje się dopiero prawdziwe, gdy można je komuś ofiarować, z kimś podzielić. „I będę patrzył na świat moich



Howerla (2061 m n.p.m.) w Czarnohorze [fot. Jacek Wnuk].

gór, łowił wrażeń bogactwa nieprzebrane i będę patrzył jak w korzec mój wpada szczęście ludziom rozdane”. To trudne, ale przecież „wierzę – myśli się rozżarzą i w słowach odszukają swoje miejsca, i wtedy spłyną wszystkie świata lody, stopione przez gorące ludzkie serca...”

No i na koniec, góry to miejsce, gdzie spotkany stary tramp snuje bajkę o „szczęśliwych dolinach wśród gór”, których szczęścia strzegą „puszcze ogromne i wysokie skały”, do których nikt „nie wskaże drogi”, gdyż „kto tam dotarł, to nie wróci przecież już”. Do tych Szczęśliwych Dolin trafiło już kilku moich dobrych przyjaciół, których zabrały tam góry. Ale choć „lata mijają, ja wierzę, że właśnie tam spotkamy się”. Bo przecież góry, to najlepsze miejsce spotkania Boga. Przecież tylko tu „drzewa modlą się w zachwycie, przed Panem ugięły kolana, tu Bóg do tłącego się serca ognika, dorzuca gorące polana”. Jakże biedny zdaje się ten, nad którym nigdy w górach nie pochyliło się rozgwieżdżone niebo, tak że leżąc starczyło tylko ręką wyciągnąć, by móc dotknąć Absolutu. „Małe słowa mej modlitwy, wierzę, że usłyszysz w niebie, no bo przecież ziemia w górach wznosi się najbliżej Ciebie”. Bo przecież „to Ty Panie wołasz mnie z gór, to Ty Panie wołasz bym szedł”. Ty, który jesteś „wspaniały jak krzesane ściany” i „potężny jak spieniona woda”, ale przy tym tak „dobry jak ten wiatr od szczytów, co mi zwiewa smutek z czoła”.

Napisałem, że piosenki te tworzyłem głównie dawno. Można zadać pytanie, czy i (ewentualnie) jak wiele zmieniło się we mnie, w tym postrzeganiu górskiego świata, od czasów młodości. Otóż w sumie chyba niewiele. Zacytuję na koniec jeszcze jedną piosenkę, ale napisaną stosunkowo nie-

dawno. Jej zwrotki, które pozostawię bez komentarza, powinny wystarczyć za wszystkie wyjaśnienia:

Nic się nie zmienia, my wciąż w te góry  
 Wyruszamy świtem jak przed laty  
 Bo gdzież szumniej szemrze do nas potok  
 Bo gdzież barwniej rozkwitają kwiaty.  
 Nic się nie zmienia, piętrzą się skały  
 Dłonie pieści dotyk granitu  
 Do zdjęć pozują nam kozice  
 Zapiera dech widok ze szczytu  
 Nic się nie zmienia, kusi sen w namiocie  
 I dusza rwie się do ogniska  
 Serce szczypią te same piosenki  
 I marzenia gorące jak iskra...

Więc cóż, nic się zmienia? Naprawdę? Oj zmienia się niestety, o czym napisałem w refrenie:

Tylko doliny jakoś dziwnie dłuższe  
 Tylko szczyty coraz to wyższe  
 Pęcznieje w plecaku apteczka  
 I kłamią czasy na tabliczce  
 To tylko PESEL, taka zwykła sprawa.  
 Wczoraj spacer, dzisiaj wycieczka  
 Wczoraj wycieczka, dzisiaj wyprawa...

Nazwałem tę – nieco żartobliwą – piosenkę *Piosenką o PESELu*. Bo cóż, góry tak naprawdę się nie zmieniają. Pozostają tak piękne, jak były. Ale czas leci nieubłagalnie, a nasz „pesel” wcale nie chce się z nim zmieniać. Trzeba nam to z uśmiechem zaakceptować. To też lepiej rozumiem dzięki Karpatom.